Lwów, 22. Marca. №34. Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek*, *Czwartek* i *Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. półr. **3** Złr. kwartał. **1** Złr. **30** kr miesięczna **40** kr. m. k. w kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr.— półrocznie **4** Złr.—kwartalnie **2** Złr. m. k. Ryciny mód kwartał. **1** Złr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr., za następ. po 1½ kr. i za dopłatę 10 kr. stępl. za każdorazwe umieszczenie.
Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

Z PAMIĘTNIKA

LEGITYMUJĄCEGO SIĘ SZLACHCICA.

(Ciąg dalszy.)

Któż z was nie doświadczył tych wrażeń, któremi wnet po opuszczeniu studenckiego życia i miasta, napełnia się krakowska buda? Z cygarem w ustach siedziałem sobie pod patryarchalnem płóciennem nakryciem, a myśli, uczucia i pamiątki zdawały się lecieć ku mnie ze wszech kończyn miasta, i jak muszki letnie goniły igrając za powozem. Żal mi było tego spokojnego w krainie nauk i ducha życia, tych murów w których słuchałem rozpraw o wszystkiem co zdobyła ludzkość, do czego dosięgał rozum, lub co się wcieliło w formy wiekuistego piękna! Ale z drugiej strony, świat i życie nowe uśmiechały się do mnie, pokazując twarz zakrytą przez pół zasłoną, o której jeszcze nie umiałem dać sądu... Lecz czegoż młodość nie ożywi, nie ubarwi w swem ręku?

Trakt żytomirski, po którym jak korab, w piaskach sunęła się moja bryka, zdał mi się przebiegać przez najcudniejsze okolice. Wieże kijowskich świątyń ginęły mi z oczu jedne po drugich; widniały tylko dłużej od innych budowli, mury uniwersytetu i dzwonnica Pieczarskiej Ławry, ze złotą swą kopułą. Natomiast coraz nowe przedemną odkrywały się krajobrazy, brodaty Jojna dzielił mi je sobą na dwa landszafty. Każdy punkt zdawał mi się być miejscem historycznem, wszędzie chciałem zbierać pamiątki i podania, jak grzyby, i wyznaję, dziwiłem się, spotykając powozy zakryte, albo najtyczanki, na których drzemiące huśtały się tułowy.

Pierwszy nocleg przypadł mi w tak nazwanym „krasnym traktyerze". Mamże go uwiecznić w mych wspomnieniach? Któż z kontraktowiczów, kto z podróżnych nie zna tej arki, która rozczepierzyła się na samej drodze w polu, i połyka jak smok krakowski swe ofiary. Powiaty okoliczne, jak przez ucho igły, ciągle przełażą przez nią.

Nazajutrz rano już znowu wędrowałem w moim korabiu. Jojna urozmaicał mi obrazek przed samym nosem; obwinąwszy się w pasiaste szaty zakonu mojżeszowego, a oplótłszy rzemieniem ręce i uczepiwszy do czoła czarną skrzyneczkę, tak się kiwał, wyśpiewując modlitwy poranne. Konie rozumiały widać dobrze godzinę rekreacyjną, gdyż zwolniły kłusa na stępa. Tak ciągnąłem dzień cały, mijając karczemki, wioski, miasteczka, i już mię zaczęły nudzić jednostajne obrazki, już pragnąłem co najrychlej dostać się do celu podróży, gdy bałaguła mój o zachodzie słońca przyciągnął do miasteczka. Według rozkazu mojego opiekuna, miałem poprzednio wstąpić po drodze do dalekiego krewnego i z nim już udać się do niego. Wioseczka, gdzie mieszkał ten mój krewny, leżała od owej ostatniej mieściny w odległości mili, a że mogłem przebiedz tę przestrzeń wieczorem, więc po długim targu namówiłem do podróży izraelitę.

Nie zapomnę nigdy tych szczególnych odwiedzin. Droga od miasteczka zmieniła zupełnie wyraz; zjechałem ze szlaku głównego na wąziutką taśmę, wijącą się pomiędzy brzozowemi gajami i łanami zboża. Wszystkie przedmioty co mię zajmowały, lecz na które patrzałem z oddali, tu zbiegły się i zaglądały aż do bryczki. O kłosy żyta zawadzały orczykowe konie, gałęzie brzóz ocierały się o wierzch budy; noc była cicha, wonna, prześliczna, jakich już zdaje się, nie ma teraz! Księżyc, anim się postrzegł, jak wypłynął na niebo i poglądał na te cuda z jakimś tak rzewnym wyrazem, jakby dzielił zachwycenie moje. Wszystko com wymijał stało nieporuszone, milczące. Jeziorka świeciły się tu i owdzie z żywej zieleni trzcin i zielska; od pieśni słowików rozlegały się gaje, przepiórki wabiły się w zbożu i chruściel derkotał tak blisko, jakby był na bryczce. Pamiętam wszystkie drobnostki z tej nocy, np. krynicę, przy której Jojna zatrzymał się dla napojenia koni, i ja z bryczki patrzałem na żurawia od studni, który tak wyraźnie rysował się na tle nieba, iż odróżniałem drobne zaciosy i włosy od łyka. Pamiętam, iż przejeżdżałem potem jakąś wioseczkę uśpioną, gdzie dom był na prawo i gdzie szumiał młyn wodny, a z massy drzew błyszczała kopuła cerkiewna. Ale oto nakoniec dojechałem do celu. Już zdala nad łanem żyta dostrzegłem ciemną smugę drzew, które mi przypomniały coś na kształt wysepek, jakie widziałem na widokach morskich. Łan żyta wyobrażał najzupełniej morze, i od pierwszego spojrzenia można go było wziąć za duży rozlew wody. Nagle wyrosła figura, zabielały wrota i znalazłem się w wiosce. Ciągnąłem ulicą szukając wzrokiem dworku, bo żywej nie spotkałem

duszy; ale oto zabielał komin, zaczerniał dach większy, i zamiast łatanych płotków, równy pociągnął się częstokół. Jojna zatrzymał się przed samemi wrotami.

— A co teraz będzie? — zapytał mię nie ruszając się z miejsca.

— Idź, dowiedz się, czy tu mieszka pan Poczciwski.

— A jak tam psów, to co będzie?

— Weź batoga.

— Nu to jeszcze gorzej, bo oni pomyślą, że ja iść bić!

— Więc zostaw.

— Nu, herste! a jak napadną, to czem ja bronić się?

— To weź...

— Aj waj! niech pan zdrów żartuje, a z tym nie ma czego żartować!

— Ależ trzeba się dowiedzieć; tu na ulicy nocować nie będziem.

— Z przeproszeniem, czy pan zna, że to kiepska wieś?

— Z czegoż tak sądzisz?

— Już koniec, a nie ma karczmy; gdzie ja nocować?

— Tu we dworze.

— Nu, co to za dwór! Jakto, żeby nie było karczmy? Ja świt przejechać, a nie widział wsi bez karczmy.

To mówiąc zlazł żyd z kozła, alić ledwie zakołatał klamką od furtki, gdy zgraja psów ze szczekaniem ogromnem rzuciła się z dziedzińca. W okamgnieniu Jojna już był na koźle, przestraszony, drżąc cały. Widząc to wysiadłem z bryczki i zakołatałem powtórnie. Po chwili zbliżył się jakiś człowiek i zapytał w małoruskiem narzeczu:

— Kto tam?

— Czy to dom pana Poczciwskiego?

— A czego wam trzeba?

— Otwórz wrota.

— Któż wy za jedni?

— Goście.

— Ale kto mianowicie?

Żyd wiedział, iż na takie zapytania najskuteczniejszą odpowiedzią jest rossyjski język, którym wielowładnie panują po wioskach pisarze assesorów i sprawników; wyrwał się więc z żydowska po rusku:

— Skaži: Czynownyk iz Kijewa, wojenny feldjeger, unter-oficer, kapitan mundiernyj z krestami!

Na taką improwizacyą, wysypaną nakształt worka grochu i zaprawioną żydowskim akcentem, parsknąłem śmiechem. Przerażony chłopek otworzył co najprędzej wrota, skoczył do sieni i wkrótce w oknie zabłyslo światełko.

Żyd kontent, iż tak dobrze się znalazł, trwał w przyjętej roli.

— Tak im wasze blahorodije! Ech wy, dietki! Dzełeń, dzełeń, dzełeń! — I naśladując dzwonek jemszczyków, strzelając jakiemiś niezrozumiałemi słowami, wtoczył się na dziedziniec.

Dworek do którego przybyłem, byłto jeden z tych małych szlacheckich dworków, gdzie tak często znajdowałem wzory poczciwości i pracy, i tych cnót ewangelicznych, o których zapomniano w pałacach. Bzy i wiśnie osłaniały go dokoła i pachniały na dziedzińcu. Na prawo od wrót stał mały spichlerzyk z galeryą, gdzie na wiązce słomy spał stróż, którego obudziłem mojem przybyciem. Na lewo była stajenka; obok niej studnia z żurawiem i korytem; za domem widniał przydłuższy dach szopy, a jeszcze dalej, stodoły z bocianiem gniazdem. Całe to zabudowanie otaczał ogród fruktowy, a za nim warzywny i lewady.

Oczekując na ganku ukazania się gospodarza domu, rozpatrywałem się w tym wiejskim landszafciku. Psy już uspokoiły się, i jeden z nich poznajomił się ze mną, pozwoliwszy głaskać kudłatą swą głowę. Tymczasem kilkoro drzwi we środku domu nie próżnowały ani chwili, i dawały się słyszeć szepty i bieganina.

Nareszcie ukazał się szlachcic wzrostu średniego, lat przeszło czterdziestu, w długim barankowym surducie, bez chustki na szyi. Spojrzał mi w oczy z bojaźnią, bąknął kilka słów po rusku, ale skoro usłyszał me nazwisko, wstąpiła weń dusza.

— Aaaaa! — wyciągnął radośnie. Sczob tebe, ha! Pan Józef! Józio! Taż-to ja spodziewałem się ciebie! Chodźże, chodź do pokoju! Gdzieżeś popasał? możeś głodny? Marysieczko! czy wiesz kto to taki? Taż-to Józio!

— Jaki Józio? — szepnęła pani Poczciwska przeze drzwi.

— Józio, z Kijowa! nasz kuzynek!

— Aaaaaa!.. wyśpiewało za drzwiami kilka głosów.

— Beeeee! — odśpiewał im uradowany Poczciwski.

— Żeby cię kaczki zdeptały! A tu jak wpadnie stróż, jak narobi harmideru: — Czynownik jakiś, krzyczy, z Kijewa! — Tam do djabła! myślę sobie. Tylko co zbyłem się prystawa, a tu nowy kłopot na głowę. Moja żonka już spała; ja budzę Karolinę, ale ani sposobu! Sapi, pociąga się, choć ją weź i wynieś!

Karolina, była to pokojówka ładna i wysmukła brunetka, która uwijała się po pokoju, sprzątając to i owo, i potrafiła już ubrać się staranniej od jegomości.

Słysząc, iż o niej mówi Poczciwski, odezwała się biegnąc obok:

— Ależ-bo jak mamę kocham, wstałam zaraz.

Pan Poczciwski spojrzał na nią z wyrazem dumy i pewności, przeprowadził ją tymże wzrokiem do drzwi i rzekł przedrzeźniając dziewiczy jej głosek: — Ależ-bo jak mamę kocham... no i cóż dalej? Jak mamę kocham że ja spała rozchrystana, rozczochrana, jak piekarniana Oksana!

— Ależ-bo nie! — odcięła dziewczyna kręcąc główką.

— A szczob tebe-ha! Ot idźno każ niech konie wyprzęgną, nastaw samowar, a tymczasem podaj tu kurczę z sałatą, bo tyś pewnie głodny? A znieście tłumok i łóżko pościelcie.

Kiedy tak rozporządzał się Poczciwski, tupcząc po izbie, tymczasem ukazała się we drzwiach gosposia. Była to zdrowa i pełna, ale już nie pierwszej młodości kobieta. Oczy miała czarne i biegające, a na jedno jej skinienie służące latały jak kręciółki.

Po godzinie rozmowy zostałem wtajemniczony we wszystkie ich domowe historyjki i sekreta. Nie trudno mi było dostrzedz, iż pani Poczciwska rej wodziła w tym domku, a poczciwy mężulko był u niej pod pantoflem. Była to przebiegła i sprytna kobietka, i tak umiała męża ugodzić z słabej strony, iż ten rad nie rad, wolę jej zawsze spełnić musiał. Poczciwski, w początkach, póki nie wywietrzało jeszcze kawalerskie, niezależne życie, nadstawiał się śmiało; ale miłość go usidliła i wkrótce podbiła całkiem, został żony pokornym sługą. Z tem wszystkiem było to rządne i poczciwe stadło. Mieli jedynego synka, Kostusia, chłopczyka lat 12, znajdującego się natenczas w szkołach, i nań zleli całą swą czułość. Rozpowiadali mi o nim co dnia, wychwalali i dość nadziwić się nie mogli wszelakim jego zdolnościom. Posiadał on wedle ich rozumienia talenta, wdzięki, rozum; nie miał tylko jednej rzeczy, rzeczy bodaj czy nie potrzebniejszej u nas jak rozum, ważnej i koniecznej jak pieniądze: — nie był zatwierdzonym przez heroldyą. Poczciwski czuł konieczność załatwienia tego interesu, ale że był flegmus jakich mało, że ufał łatwowiernie ludziom, którzy załatwienie tej sprawy wzięli na siebie: ztąd upływał rok po roku bez skutku. Aż gdy całą ważność interesu pojęła żona, Poczciwski wzięty we dwa ognie, już nie mógł zwlekać go dłużej. Łatwo wyobrazić sobie z jakiem byłem przyjęty uczuciem, gdy wspólną nagleni potrzebą, razem odtąd mieliśmy wziąć się do załatwienia naszych interesów. Nie upłynął dzień jeden, ażeby o tem nie było przedemną mowy. Od tego interesu zależały wszystkie inne, tyczące się stosunków, fortuny, znajomości: słowem cała historya życia, obok której, naturalnie, rozwinięto przeszłość. Ile mogłem sądzić z opowiadania, najpiękniejszym peryodem ich życia były to lata przepędzone w skarbie ks. Sanguszki, gdzie się poznali, gdzie Poczciwski oświadczył się, i gdzie się pobrali nakoniec. Ale ci poczciwi ludzie po swojemu pojmowali to szczęście. Bohdan Zaleski wiek młody nazwał snem złotym, snem na kwiatach; oni, że tak powiem, nazwali go snem na donośnej ordynaryi i karmnych kabanach. Dla mnie marzącego, przesiąknionego poezyą i ideałami, jakoś dziwnem zdało się to określenie szczęścia. Nie było tu wzmianki ani o uczuciu, ani o tych rozkoszach miłości, któremi ja zapełniałem życie; a pomimo to, nie było tu ani nieszczęścia, ani łez, ani narzekań na losy. Gdzież tu romans? myślałem w duchu: zkądże go wydobyć, jak go wcielić w powieść?

— Mama mi turkotała ciągle (mówiła mi z zupełną spokojnością Poczciwska), idź, taj idź za niego: ot ja durna i wyszła.

— Ty ją słuchasz — przerwał Poczciwski, przerzucając kartki kalendarza, — przepadała za mną....

— O! co już tego, to nie mów, bo dalibóg nieprawda! Ot nie grzech że zabożyłam się. Ale myślałem sobie: wyjdę, będę panią swej woli. Zechcę, pojadę w gości; zechcę, zostanę w domu; a podoba mi się jaki perkalik, to kupię.

— E, nieprawda Marysiu! A tyś mi mówiła, że mię kochasz nad życie?

— Przeżegnaj się, nie byłam ja nigdy z tych romansowych, a jeszcze dla ciebie. Prawda, był on wtedy troszkę czupurniejszym, ale zawsze nie było tam w kim kochać się.

— Więc ty może mnie i teraz nie kochasz? — rzekł mąż podginając kolana i rozczepierzając ręce; a pozycya w jakiej się prezentował, trzeba przyznać, wcale nie była do miłości.

— Franciszku! Pan Bóg z tobą! Jak można mówić przy ludziach takie głupstwa? Otóż jak wyszłam, tak bywało, spię sobie do południa, a w spiżarni i w kuchni gospodaruje kto chce sobie. Mój Franciszek żałował mię bywało jak dziecko: co prawda to prawda! Widział on jaki to porządek w domu, ale nigdy mi nie rzekł ani słówka. Ja śpię, a on sam powydaje na obiad, sam do garnków zagląda, pójdzie do lochu, do karmników, a wieprzów karmił ze 20. W tem raz przyjeżdża do mnie mama: „A pokaż mi Doniu gospodarstwo?“ A ja ani w ząb. Dopierożto jak nagderze na mnie. Było tu i skarg i płaczu, a Franciszek jeszcze mnie broni! Wyjechała mama, a ja myślę sobie: trzeba się poprawić. Ot i nauczyłam się, a teraz jużbym ja takich jak Franciszek nauczyła dziesięciu.

— A szczo?.. — zakonkludował mąż z przyciskiem.

— A jak Boga kocham! niedarmo Michaś mówi, żeś ty flejtuch do niczego!

— Och twój Michaś! a zaraz z Michasiem!....

— Alboż nie tak? Od którego czasu mówię ci: przywieź mi klucznicę.... A cóż? czy ty posłuchasz? Niechaj Marysia sama chodzi z kluczami, niechaj tupcze jak durna. Och! żebym ja już prędzej umarła, jak mam żyć z takim...

I to rzekłszy, otarła łzy z oczu.

Nie wierzyłem sobie, iż jestem świadkiem podobnej sceny. Spojrzałem w oczy tej kobiecie i postrzegłem, iż łzy w nich błyszczały istotnie.... Nie wiedziałem jeszcze wtedy, iż łzy u kobiet jedno, co u nas chustka do nosa: dość sięgnąć by ją dostać. Dziwiły mię więc takie nagłe przechody, lecz często się zdarzało, że bywało przeciwnie i początek łzawy kończył się uśmiechem.

Pan Franciszek był z kościami poczciwy człowiek. Serca w nim było, zdaje się, we dwójnasób w stósunku do innych części systematu nerwowego. Łza Marysi rozbrajała go w okamgnieniu. Zwykle postrzegłszy ją, powsta

wał i wychodził z pokoju, powtarzając: A szczo! ot tobi Hapko knysz! A na progu dodawał: Wstydź się! dziecko jesteś! Po wyjściu Poczciwskiego, Marysia wydalała się przez drzwi drugie; ale p. Franciszek nim obszedł gospodarstwo, zmiękł jak papka, stopniał jak wosk, i można było ręczyć, iż za kilka minut znajdą się oboje w sypialni czy garderobie, i że będzie ją całował w głowę, w twarz (w ręce nie całował nigdy) i przyrzecze spełnić co tylko żąda.

Raz podpatrzony ze słabej strony, poczciwiec ten odbierał ciągle w to samo miejsca ciosy, i nakoniec tak przywykł zostawać zwyciężonym, że jeżeliby zdarzyło mu się kiedy istotnie odnieść tryumf, zaręczyć można, iż nie wiedziałby co robić ze zwycięztwem.

Jedną ze szczególności domu było to, iż oprócz stróża i furmana, cała służba składała się z kobiet i dziewcząt. Dziewczęta nam usługiwały do stołu, służyły do herbaty, chodziły z kluczami na tok i pasły trzody. Pamiętam dotąd tę barczystą Małaszkę, która w XIX. wieku pełniła poetyczne obowiązki Chloryndy, chodząc boso za bydłem po gajach i borach. Jak palnie, bywało, z bicza na dziedzińcu, to szyby brzęczą w oknach. Ale z pomiędzy wszystkich, odznaczała się wdziękami Karolinka. Co tu było romansów i plotek w tym pułku amazonek, opisać trudno! Patrząc na tę sułtańską girlandę którą był opasany Poczciwski, mówili niektórzy, iż opływa w rozkoszach; tymczasem nic nad to nie było fałszywszego. Jak przyjdzie niedziela, dopierożto dom cały zakoloruje się jak pilipoński kramik. Wieją wstążki, błyszczą we włosach kwiaty, migają wysmukłe staniki, i co chwila spotykasz się z rumianą twarzyczką, to z ognistem okiem.... Poczciwska lubiła otaczać się tą gwardyą nadworną i często zebrawszy je i postawiwszy w szeregu, kazała śpiewać różne ukraińskie piosnki. Cóż powiecie? Z początku wydało mi się to wszystko śmiesznem i prościutkiem; nie było tu życia dla moich ideałów, nie było istoty coby je pojąć mogła: tęskniłem i pragnąłem wyjazdu; ale po dniach kilku to ciche życie, jak tajemnicza żyłka wody, zaczęło się sączyć do serca i przywykłem do tej ustroni.

(C. d. n.)

WIOSNA.

Piękne, piękne w naszym kraju
Są wiosenne chwile w maju,
I wesoło wschodzi dzionek,
I wesoło tnie skowronek,
Świeżo trawka się zieleni,
I świeżo się rola mieni,
I kraj cały niby młodzian
W świeżą życia barwę odzian!

Więc kto życia pragnie szczerze
Wraz z dniem nocne rzuca leże,
I skłoniwszy skroń przed Bogiem
Po krzyż święty, już za progiem,
Już na polu, lub w ogrodzie
Kąpie skronie w rannym chłodzie,
I myśl kąpie w świeżym maju
I błogo mu jakby w raju!

Oj nie ma to bratku życia,
Jak na wiosnę, gdy z powicia
Wykłówszy się młode plemię
Kwiatem rzuci się na ziemię,
I wysnute, wypieszczone,
Świeżą rosą uperlone
Nadzieją ku niebu buja
Niby głosząc: alleluja!

A jak ci się wszystko krzepi?
Tam sąsieki pszczółka lepi,
A tu bocian na stodole,
Bije dzióbem karambole,
Tam się mrówka skrzętna zwija,
A tu motyl rosę spija,
I przymila się do róży,
A zazula szczęście wróży.

Ba, i kwoczka na gwałt gdoczy,
Aby zwrócić wszystkich oczy
Na obfite dziatwy grono, —
A tam jastrząb krąży pono,
Bo snać stara się obawia,
Wszak namiotem skrzydła stawia,
I skwapliwie dziatwę garnie,
By nie poszło które marnie!

O! a cudów tych bez liku,
Tutaj strumyk po kamyku
Pląsa sobie w bujnej trawce,
A tam kaczki na sadzawce,
A tam gęsi, tu indyki,
A na błotach znów płód dziki
I wszytkiego jest bez miary
A wszystko to Boże dary!

Owóż Panie za te dary
Przyjm łaskawie hymn nasz stary
„Kiedy ranne błysną zorze,“
Pobłogosław wielki Boże,
Naszym chatom, naszej roli
I ludowi dobrej woli.

J. F.

MOHORT.

(Ciąg dalszy).

Po tych opisach przechodzi poeta do różnych przeczuć narodowych, i jakichś dziwnych znaków, które uprzedziły ostatnie roztrzygnienie losów ojczystych.

Bo straszne jakieś dochodziły słuchy,
Że się w mogiłach niepokoją duchy,
Że w węgłach domu coś strzela i brzęczy,
Że nawet ziemia w czystym stepie jęczy,
Że krew w krynicznej wodzie nawet bywa,
Że się w kościołach zapadają groby,
Że chodzą z dawna umarłe osoby,
A pies się w nocy jak szalony zrywa.

I kometa pojawił się z swą miotłą, a do obozu ciągle nowi przybiegali gońce, z wieściami i rozkazami.

Jest to już stary człowieczy obyczaj, nam mianowicie Sławianom właściwy, wierzyć w takie wszystkie wróżby i przeczucia. Jakoż wkrótce przyszły ze stolicy rozkazy do pochodu i książę Józef mianował Mohorta Obożnym. Lecz Mohort przeciw zwyczajowi swemu posmutniał. Powodem tego był sen złowrogi. Mohortowi nad rankiem przyśnił się hetman, i tknął go buławą, aż go zimna dreszcz przeszła. Stary wojak widzi w tem wróżbę śmierci, i chce się do niej przygotować. Takie przeczucia są zgodne z naturą człowieka i wielce poetyczne, jakoż poeta dotyka onych z prostotą, pełną żywej poezyi. Jedzie więc Mohort do monasteru, aby rozporządzić tam własnością swoją, wyspowiadać się, i zostawić wszystko w porządku. Po staremu, po naszemu, a więc religijnie i ze skruchą przystępuje Mohort, do tych ostatnich, wedle zdania jego rozporządzeń, co wszystko tem rzewniej jest opisane, im większy sam poeta jak go znamy, ma popęd ku religijności. Celę swą do ładu przyprowadzał, stoczek u lampy co gorzała przed obrazem świętym sam zapalił, i ukląkłszy żegnał się z temi niememi tylu lat jego życia towarzyszami. I wyszedł wraz z młodym żołnierzem do ogrodu, gdzie stał stary dąb a przy nim kapliczka przy zdroju. Stary wojak przeczuciami zapewne wiedziony, jak każdy człowiek u kresu życia stojący wraca pamięcią do czasów minionych i rozpowiada podwładnemu swemu ułamki swojej przeszłości.

Opowiada mu tedy, jak za młodych jeszcze lat po długiej słabości i po ucisku wielkim po raz pierwszy przybył w te strony, i czule a gościnnie przez księży bazyljanów został przyjęty, gdy go rektor zdybał zmęczonego, jak się modlił pod cieniem tego dębu, i dla orzeźwienia się wody ze źródła napił. Opowiadanie to ładnie napisane lecz po prawdzie nie wiele zajmujące, dla tego może że nigdzie tak jak tu nie uderza brak artystycznego układu w całości tego poematu. I trzeba koniecznie przypominać sobie że to rapsod tylko, bo widząc bogactwo treści, aż serce boli, że te wszystkie rysy tak piękne, zdolne utworzyć najpyszniejszą całość, są tak rozstrzelane i bez wszelkiego ułożone porządku. Nie ma tej budowy prawdziwie artystycznej, w której szczególne rysy, pogrupowane w koło pewnych faktów, robią je wydatniejszemi, że się prawie wydają wypukłe jak dawniejsze haute-reliefs. W Mohorcie idą opisy po opisach, rysy do jednego przedmiotu należące, tak są porozrzucane i pomieszane, że ich piękność uderza chwilowo, ale wybitniejszem piętnem swojem, stalszego nie zostawia w czytelniku wrażenia. Z tąd naturalnie powstają powtarzania mnogie, które zawadzają wrażeniu czytającego, i nie dozwalają mu jak się to dzieje w arcydziełach poetycznych, postępować za każdą kartą poematu, za każdem słowem poety. Te opisy, mianowicie klasztoru, wracają po razy kilka, są same w sobie ładne, ale nie wzbudzają takiego zajęcia, jakieby w czytelniku pozostało, gdyby poeta zebrał je treściwie w jednym stosownym epizodzie i oddał go z całą siłą wszystkich pięknych myśli do jednego należących przedmiotu, ale rozstrzelonych tu i owdzie. Czytając ten rapsod mimowolnie przychodzić musi na myśl, że poemat cały nie jest napisany razem w jednym czasie, pod wpływem jednej i tej samej myśli. Są ustępy dziwnie piękne, napisane widoczne w chwili natchnienia wzbudzonego w poecie, gdy po raz pierwszy słyszał o tej dla umysłu poety tyle uroku mającej treści. Ułamki te wówczas napisane, musiał zapewne chcieć pożniej powiązać w całość, co naturalnie po upływie czasu i wrażeń było niepodobieństwem, i tylko połączył je pożniejszemi nstępami, przez co całość stać się musiała tak rapsodyczna.

Lecz wróćmy do treści. W opowiadaniu swojem przytacza Mohort ustęp z wojny hajdamackiej, jak razu jednego czerń chciała napaść klasztor bazylianów, i złupić go, za to, że z Lachami trzymał. Mohort uwiadomiony o tem, przybiega w pomoc. Trzy razy szturmowali hajdamacy, lecz trzykroć odparci od monasteru, musieli się cofnąć, tem więcej że Murza tatarski, z oddziałem wojska swego, przyszedł naszym w pomoc. Lecz Mohortowi nie zdało się rzeczą przyzwoitą przyjąć pomoc poganina.

Prawda żem chował z Murzą przyjaźń starą
Bo choć poganin kochał sprawiedliwie,
Lecz nie poskromić buntów własną wiarą,
I pogan ściągać na swą własną niwę,
To mi się przecie jakoś nie zdawało,
Jeźli Bóg zechce i tak wyjdziem cało.

Podziękował mu tedy za przymierze, a klasztor obdarzył Tatarów setką baranów. Tymczasem hajdamacy przestraszeni zbliżeniem się Tatarów umknęli, a wkrótce też i pan Słępkowski bunt upacyfikował. Kończąc to opowiadanie Mohort, stojąc nad zdrojem zadumał się i z myśli w w myśl przechodząc, gdy mu znowu przeczucie śmierci stanęło przed oczy, zdjął sygnet herbowy z palca, a niemając go komu przekazać, rzuca w sam środek krynicy, co poecie daje powód do wyrzucenia znowu takich o jakich wyżej wspominaliśmy, szumnie brzmiących choć wielkiego i prawdziwego znaczenia pozbawionych wyrazów:

Ostatni z rodu, komuż go zostawię?..
I komuż z duszy tak pobłogosławię,
Jakto mnie ojciec niegdyś błogosławił?...
Więc tobie ziemio, ty arko miłości
Co wiernie trzymasz miłosierdzia klucze
I tobie dębie coś w prostej wielkości,
Szmerem twych liści wielkość pana sławił,
A już ten sygnet niech wiecznie zdrój płucze.

W czasie pochodu, dawne powiastki, nie odstępują pewnego śmierci Mohorta. I opowiada dzieje swojej pierwszej i ostatniej miłości. Ustęp to cudownie piękny, mianowicie jego początek.

W ostatniej potrzebie z Szwedami, poległ śród boju Miecznik Rożański. Że był powszechnie w wojsku lubiony i ceniony, hetman nakazał Mohortowi, aby ciało zmarłego oddał wdowię z należytą assystencyą.

I tak się stało, że z pocztem osobnym
Ruszyłem prosto z konduktem żałobnym
Z pobojowiska, wszystko to zebrawszy
Co po mieczniku było pozostało.
W pierwszem miasteczku trumnę zrobić dawszy,
Złożyć kazałem na rydwanie ciało
I księży wziąwszy z pierwszego klasztoru,
Jechałem wolno do wdowiego dworu.

Cały ten obrazek jest pełen prawdy, prostoty, poezyi rzewnej, w której pan Wincenty Pol, jest niezaprzeczonym mistrzem, bo jak człowiek szczerego i serdecznego uczucia, sercem zda się opisywać sceny ciche, domowe i czułe.

Stanęli w bliskim klasztorze, i dali naprzód znać przyjacielowi zmarłego Wojskiemu Proszczyckiemu. Zapłakał Wojski, gdy się dowiedział o śmierci najdawniejszego przyjaciela swego.

Ale boleści nie folgował marnej,
Ukląkł i zmówił: wieczny odpoczynek,
Potem wstał, włożył na się żupan czarny,
I rzekł mi krótko: — jedźmy do Malinek
Smutne poselstwo trzeba odnieść wdowie.

Ten cały ustęp, jak zmarłego wiozą, jak oznajmiają biednej wdowie stratę jaką poniosła, jak go nareszcie przywożą, jest tak piękny, że prawdziwie cały by go należało tu przytoczyć, aby dać wyobrażenie, o tem uczuciem do serca przemawiającem, jakie wieje przezeń.

Gdyśmy nareszcie stanęli przed panią
Nikt z nas przemówić nie śmiał ani słowa,
Ale i oczy złego posła ranią,
Nieboga swoje nieszczęście odgadła,
I rzekła mężnie: — czuję to żem wdowa!
A śliczna córa jak kalina zbladła,
I u stóp matki bez duszy upadła.

Przyszedł wreszcie dzień pogrzebu,

Wspaniały rydwan ruszył od klasztoru,
I śpiew się ozwał w dłuż wielkiego choru,
Znać że do grobu wieziono rycerza,
Bo za rydwanem stąpał koń miecznika,
Chorągwie szwedzkie na krzyż u puklerza
A obok trumny zbroja nieboszczyka.

A dalej trochę mówi poeta:

Przed dworem na krzyż schodziły się drogi,
I kondukt stanął przed bramą niebogi,
Co z dworu wyszła na smutne spotkanie,
Powitać zwłoki męża na rydwanie.
Obok niej córa po nad matką zgięta
I smutnym dworem w koło otoczone.

Panu Mohortowi jako prowadzącemu kondukt, wypadało przemówić, ale łza mu zaszła oko, i nieprzyzwyczaonemu nie szło to jakoś, lecz westchnąwszy do najświętszej panny, i zebrawszy siły przemówił. Co mówił, sam już ledwie pamięta:

Wiem tylko tyle, żem począł od boga,
I od ojczyzny, i od krwi poczciwej,
Co jak orlica uderza na wroga,
Kiedy jej gniazda dotknie gad żelżywy:
A gdym nareszcie złożył w ręce wdowy
I pierścień ślubny, i sygnet herbowy,
I relikwiarzyk co na piersi nosił,
Oddałem córce jak sam oto prosił...
Gdym spojrzał na nią, a ona mię w oczy,
A tu się perła po jagodach toczy
I jakaś światłość od jej oblicznością,
Padła mi w duszę, to już od żałości
Niemógłem więcej wymówić i słowa,
I tak się na tem skończyła ta mowa.

Oo tej chwili rozkochał się pan Mohort na piękne w Annie, kochany nawzajem.

Sześć niedziel zbiegło mi na wdowim chlebie
Jak gdyby jedna godzina gdzieś w niebie.

Przy pożegnaniu Anna dała Mohortowi w upominku ojcowską szablę, którą stary wojak odtąd nosi zawsze. Smutny przyjechał Mohort na dwór hetmana, który dorozumiawszy się o co rzecz idzie, wdaje się w tę sprawę, i bierze na siebie wyswatać swego porucznika. Jakoż sam hetman wziąwszy znowu w pomoc Wojskiego jedzie z kawalerem po Malinek, i oświadcza się w jego imieniu. Oświadczenie przyjęte; kochankowie najszczęśliwsi zaręczają się.

(D. n.)

SZKOŁA PODCHORĄŻYCH JAZDY.

(Dokończenie.)

Tymczasem szmer wzmagał się w szeregach. Pułkownik słysząc to, odwrócił się nagle do frontu i przybrał swoją zwyczajną, imponującą postawę.

— Stać! równać się! do milionkroćset, krzyknął. Cóż to panowie? Czy w szeregu myślicie jakąś rewolucją robić? Czy wam się zdaje, że dobrze zrobili ci co pouciekali, by ze studentami i ulicznikami uganiać po mieście? A jak którego zobaczy Wielki książe albo jenerał Rożniecki to cała potem odpowiedzialność na mnie spadnie. Prawda czy nie?. Czy panowie myślicie do kroćstotysięcy, że gdy-

by była tego potrzeba, jabym was niepotrafił poprowadzić, tam gdzie honor i powinność polskiego powiedzie żołnierza? Cóż to ja młodzik, student? Czy ja to na saskim placu zasłużyłem? dodał wskazując na pierś swoją na której była legia honorowa i krzyż wojskowy polski. Miał on i order św. Anny, lecz tym razem czy umyślnie czy przez zapomnienie nie przypiął go do munduru.

— Byłem zawsze panowie na swojem miejscu, i dziś i jutro, i zawsze do milionkroćstotysięcy! Ja wiem czem to pachnie i na co się zanosi. Słuchać, pilnować służby i rozkazów. Baczność! do dobycia pałaszy!. Trzema od prawego stępo! marsz!.

Tak silna jest władza karności w wojsku, i taka jest przewaga energicznego dowódzcy, że na te słowa Czarnomskiego, szmer ucichł jakby cudem, i dawny porządek wrócił do szeregu. Szwadron wyruszył z koszar i stanął na placu przed bankiem, który był przeznaczony dla szkoły podchorążych jazdy w razie alarmu.

Stali tam podchorążowie zawsze pod dowództwem pułkownika godzin kilka. Korzystając z ciemności, udało się kilku podchorążym, którzy pierwej zemknęli do miasta, zbliżyć się do swoich, i zawiadomić ich o zaszłych w mieście zdarzeniach, w skutek czego kilku znowu porzuciło szeregi swoje. Około północy zakomenderował znowu pułkownik i przerzedzony już bardzo szwadron przyprowadził na plac saski. Na placu stał pułk gwardyi strzelców konnych. Po krótkiej chwili ruszyli strzelce, a z nimi i podchorążowie, w powolnym wszakże marszu znać było widoczne wahanie się dowódzców. Tym sposobem przyszli na plac około Trzech krzyżów, przy kościele śgo Alexandra. Tam zdybali się z trzema pułkami konnej ruskiej gwardyi, i zastali wszystkich jenerałów ze sztabem głównym, a między niemi i Wielkiego Xięcia ze sztabem swoim. Tu już nie można było myśleć o odwrocie, bo oficerowie przestrzegali porządku z wielką ścisłością. I tak już razem około 3ciej godziny wyruszyli wszyscy za rogatki.

Ale za to gdy nazad wracali, co to była za radość i młodzieży, i ludu witających się razem. Podchorążowie rozbiegli się po rozmaitych pułkach, i zapałem a walecznością dowiedli, że zachowali prawe serca polskie.

A pułkownik Czarnomski czynem dowiódł że słusznie mówił, jako zawsze jest na swojem miejscu. Gdy bowiem razu jednego stał z pułkiem swoim w assekuracyi armat, zobaczył jak młodzi żołnierze mimowolnie, jak to się zawsze trafia, głowami kiwają przed armatniemi strzałami. Czarnomski zwrócił się nagle do frontu, i pół surowo, a pół z uśmiechem ozwał się do nich.

— Do milionkroćstotysięcy!. Coż tam panowie tak się kłaniają. Ja rewolucyi nie robiłem, u Honoratki*) nie bywałem, mów nie gadałem, ale stoję i stać będę, do milionkroćstotysięcy!.

W rzeczy samej przez cały ciąg kampanii r. 1831, Czarnomski należał do najwaleczniejszych oficerów wojska polskiego. E.

*) Honoratka, nazywała się kawiarnia w Warszawie, do której z początku powstania schodziła się młodzież, i z burzliwemi nieraz występowała mowami.

Rozmaitość.

* **Potiszomania.** Nowy wynalazek zajmuje teraz świat piękny francuski, mianowicie płeć piękną, która przyjęła go ze zwykłym sobie do wszelkich nowości zapałem. Jest to sztuka przerabiania naczyń szklannych, na sposób aby wyglądały jak naczynia porcelanowe w guście japońskim, wschodnim, lub też starożytnym. Naczynia te tym sposobem przerobione nazywają się *potiches* a sztukę przerabiania zowią *Potiszomanią*, i jest już tak rozprzestrzeniona, że nietylko w francuskim, ale i w niemieckim języku powychodziły małe broszurki, dające objaśnienie w tej mierze. Wynalazek ten, który zawdzięczamy miastu Tours, stolicy starej prowincyi Touraine, jest nadzwyczaj prosty. Stosuje się on do naczyń staroświeckich, do wazonów, urn, miseczek i filiżanek, do dzwonków, do klamek, a nawet do szyb w oknach i drzwiach. Cała robota zależy na tem, że się dobierają rozmaite obrazki papierowe, farbami malowane, byle były stósowne do dobrego naśladowania rysunków na naczyniach gustu japońskiego, wschodniego lub innego, i wycinają się doskonale, aby żaden na nich nie pozostał rąbek papierowy, któryby mógł psuć złudzenie. Obrazki te dowolnie zebrane i ułożone, przylepiają się do części wewnętrznej szkła, wyczyszczonego i wygładzonego należycie miękkiem suknem, za pomocą gummy tak zwanej *gomme galantine*. Idzie rzecz o to oczywiście, aby obrazki te zgrabnie i doskonale przylepione były, żeby nie odstawały, do czego najzdolniejsze są zgrabne i cierpliwe paluszki płci pięknej. Robota ta odbywa się nadzwyczaj szybko i schnie równie prędko. Dla większego złudzenia, wybiera się potem barwa, którą dostać można w każdym handlu olejnych farb, czy to porcelanowa, czy inna, ale zawsze stósowna na tło obrazków, jakie zostały przylepione; farbę tę rozpuszczoną w pokoście kopalowym z dodatkiem makowego oleju i kilku kropel lewandowej essencyi by zbytecznej uniknąć płynności, wpuszcza się do środka naczynia, aby je całkiem zapełniła, poczem gdy już ta farba do naczynia przystanie, wylewa się pomału. Przewraca się naczynie i farba zbytnia ścieka całkiem. Można to samo wprawdzie pędzlem uskutecznić, co jednakże wymaga ręki nadzwyczaj wprawnej i zgrabnej. Barwa danego tła pozostaje na szkle, i tem żywiej odbija kapryśne na niem przylepione rysunki. Dla większej trwałości, można jeszcze środek naczynia po skończonej operacyi oblec pokostem, mianowicie tak zwanym *vernis inalterable*. Naczynia szklanne tym sposobem przyrządzone i ustrojone, naśladują doskonale Etruski, antyki lub też wyroby japońskie, a tak są dziś, osobliwie we Francyi ulubione, że zajęcie około nich po wszystkich salonach wyrugowało wszelkie inne włóczkowe, krosienkowe i t. p. kobiece robótki.

* **Poezya kontradansa.** Sądzono zawsze, że kontradans jest zimnym, monotonnym tańcem, a jednak przedstawia on mały dramat. Dwie pary zbliżają się ku sobie. W *pantalon* zabierają znajomość, a przez *chaine anglaise* i *chaine des dames*, bliżej się poznają. Mężczyzni pozostają damom, a damy mężczyznom jeszcze wiernemi, nieopuszczają się wzajem ani na chwilę, chyba w niewinnej *chaine des dames*. W *Eté* stosunek ten staje się poufalszym; obiedwie strony ku sobie pospieszają, każdy mężczyzna tańczy z damą na przeciw stojącą, nie zbliżając się przecie do niej, ani chwytając za rękę, oko jednak już zaczepia. *Poule* więcej łączy tańczą-

cych, obie pary przez *chaine* mieszają się. mężczyzni to tę to ową rękę damom podają. *Pastourelle* daleko więcej pozwala, obie damy przechodzą następnie na przeciwne strony, każdy z mężczyzn odstępuje damę swemu współzawodnikowi. We *Finale* nakoniec nastaje pożegnanie.

* W niedzielę wielki koncert wyprawia towarzystwo muzyczne w gmachu teatralnym.

Z powodu wielu zapytań wydawca Szanownych prenumeratorów zawiadamia, że **Nowiny za styczeń r. b.** zupełnie wyczerpane i takowych li od **1. lutego** zacząwszy dostarczyć może.

Kompletny rocznik **Nowin** z r. **1854** kosztuje 8 złr.

Przyjechali od dnia 19. do 21. Marca do Lwowa.

PP. Michalewski Antoni, z Niedzielisk. Tyniecki Erazm, ze Złotnik. Gnoiński Aleksander, z Krasnego. Dzieduszycki Kazimierz hr. z Niesłuchowa. Kowalski Ignacy, z Teysarowa. Janocha Antoni, ze Stanisławowa. Zasławski Aleksander, z Majdan. Kuczyński Felician, z Korkowa.

PP. Cetner Albert hr. z Podkamienia Pawlikowski Emil, z Brzeżan. Kołaczkowski Adam, z Rohatyna. Kruszewski Henryk, ze Zółkwi. Nahajowski Antoni, z Czernicy. Strzelecki Eugeniusz, z Mikołajowa. Krzeczunowicz Ksawery, z Komarna. Cielecki Włodzimierz z Byczkowic.

Wyjechali od dnia 19. do 21. Marca ze Lwowa:

PP. Rogoyski Karol, do Krakowa. Żebrowski Tadeusz, do Krakowa. Hoszowski Nereusz, do Ropczyc. Kopystyński Wojciech, do Grabownicy. Krajewski Nikazy, do Turzego. Dnniewicz Edward do Nowoszyc. Lubomirski Adam książe do Krakowca. Jabłonowski Józef, do Stanisławowa.

PP. Brunicki Konstanty, bar. do Derewacza. Janiszewski Ignacy, do Żurawna. Krajewski Mikołaj, do Turzego. Michalewski Antoni do Małaszowic. Badeni Aleksander hr. do Złoczowa.

Lwów, 19. Marca. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 31 złr. 15 kr. do 38 złr. — kr. — Żyta po 25 złr. — kr. do 28 złr. — kr. Jęczmienia po — złr. — kr. do 21 złr. 20 kr Owsa po 14 złr. 45 kr. do 18 złr. — kr. Grochu po — złr. — kr do 30 złr. — kr. Hreczki po 18 złr. — kr. do 21 złr. 15 kr.— Ziemniaków po 12 złr.— do 13 złr.— kr. Sąg drzewa bukowego 40 złr. — kr. do 43 złr. 10 kr. Sosnowego po — złr. — kr. do 34 złr. w.w. Cetnar siana 5 złr. — kr. do 5 złr. 40 kr. Centnar słomy 2 złr. 32 kr. do 3 złr. 20 kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty 4 Złr. 10 kr. do 4 złr. 25 kr. w. w.

Kurs telegrafowany z Wiednia 19. b. m. o g. 2. po połud

Augsburg za 100 złr.	$126\frac{1}{4}$	Pożyczka 5%	$82\frac{1}{4}$ $4\frac{1}{2}$ $71\frac{1}{4}$
Hamburg za 100 tal. banco	$93\frac{1}{4}$	Akcye banku	—
Londyn za 1 funt szterl.,	12 18	Kolej północna	—
Medyolan za 300 lirów	$125\frac{1}{4}$	Obl. ind.	73
Paryż za 300 franków	$147\frac{3}{4}$	Nowa pożyczka z loteryą	$104\frac{1}{8}$
Agio duk. ces.	$31\frac{3}{8}$	Pożyczka narodowa	$86\frac{13}{16}$

Wczorajszy **Kurs Lwowski** Gotówką towarem.

Dukat holenderski	złr.	5	kr.	49	złr.	5	kr.	52
Dukat cesarski	«	5	»	53	»	5	«	57
Półimperyał zł. rosyjski	«	10	«	8	»	10	«	12
Rubel srebrny rosyjski	»	1	«	58	«	1	»	59
Talar pruski	»	1	«	54	»	1	«	56
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	«	24	»	1	«	25
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	»	93	«	55	»	94	«	24
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		72	»	55	»	73	»	25
5 proc. pożyczka narodowa		85	»	30	»	86	«	15

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**